



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie na żądanie początek dołączanej do „Bluszcza” powieści pod tytułem:

KSIĄŻĘ SARACINESCA

przez Maryana Crawford

przekład z angielskiego

która rozpoczęta została w Nr 49 „Bluszcza” 1887 roku.

POGA WĘDKA.

—„Tańczą i żenią się;—w tych krótkich słowach możnaby scharakteryzować każdy karnawał, a tegoroczny przed innymi.

Doświadczeni fikalscy twierdzą, że im krótsze zapusty, tem większa ochota w zabawie, tem więcej rautów, balów, skakanek (nowy termin na „tańczącą herbatę”), tem dłużej trwają wszystkie

zebrania, tem siarczystsze bywają hołubce i szaleńsze galopady.

Muszę wierzyć fikalskim, którzy w tym sezonie są „powagami” i będą niemi do... Popielca.

Nie wiem, czy termometr karnawałowy nie spadnie, początek wszelako zapowiedział się stopniem ohochości dość wysokim.

Zeszłej soboty mieliśmy kilka publicznych zabaw i dużo prywatnych, a wszystkie udały się wybornie; na przyszłość zapowiedzi balowe mnożą się z dniem każdym,

Mimo to stękamy na ciągłą biedę, ale ten dysonans powtarza się tak często, z takim Wagnerowskim efektem w symfonii naszego życia publicznego i prywatnego, że trzeba go uważać za kontrast nadużywany, ale konieczny w charakterze ogólnym.

Stękamy tedy, tańczymy i żenimy się.

Znam pewnego pessimistę, który powiada, że wszystkiemu winne są... córki; za dużo ich na świat przychodzi, za dużo kosztuje ich wychowanie, za dużo kłopotu sprawiają ojcu rodziny i zmuszają do anormalnych wydatków dlatego tylko, aby nie zostały staremi pannami...

Dla nich-to urząda się owe bale, wieczorki, zebrania, bo przecież dziewczynę trzeba światu pokazać, dla nich trzeba się ściągać z ostatniego, trzeba nadrabiać miną, żyć nad stan i wbrew przekonaniu łączyć się z ogólnym wirem.

Mój kwaśny *pater familias* ma aż cztery jedy-naczki bez posagu i to tłómaczy jego zgryźliwy humor. Gdyby miał czterech synów w tych czasach, kto wie, czy nie wyrzekałby jeszcze bardziej, nie wiedząc, co z nimi począć.

A jednak największą pociechą życia, jest dobre dziecko, a najszczytniejszą ambicją każdego ojca i każdej matki, powinno być wychowanie go na prawego człowieka i pożytecznego obywatela. To pierwsze zadanie w porównaniu z dru-

giem, bywa łatwiejszem, drugiemu wiele rzeczy staje teraz na przeszkodzie zwłaszcza w kierunku praktycznym.

Nie wiem, zkąd mi się ta poważna a niewesoła kwestya przyplątała pomiędzy temata karnawałowe, które jedynie wypełniają dziś notatnik kronikarza.

Zamiast o społeczno-pedagogicznych sprawach, powinienem mówić o trzeciej maskaradzie, jeżeli mam być wiernym referentem bieżącej chwili; ale niestety, nie byłem w salach ređutowych tej niedzieli i wiecie co?... nie pójdę tam także w roku przyszłym, poprzestając tylko na reporterskich sprawozdaniach *Kuryera*, które i tak stereotypowo się powtarzają: tłok, ścisk, nudy, gorąco nie do wytrzymania, intrygi mało a maski nie dowcipne.

Nie mam ochoty sprawdzać tego kosztem moich boków wygniecionych, szczęk ziewających i nocy nieprzespanej, z doliczeniem wydatków w gotówce.

Zresztą tradycya trzeciej maskarady w Warszawie utraciła wiele skutkiem balów maskowych z tombolą na korzyść kassy pożyczkowej artystów nowego teatru, któremi zazwyczaj kończy się karnawał w salach ređutowych. W roku bieżącym będziemy mieli znowu taki bal i taką tombolę, na którą już komitet zbiera fanty; szczególniejszy protektor tej instytucyi, p. hr. Plater, niezależnie od balu, urząda na ten cel wystawę muzyczną w pałacu hr. Krasińskich przy Krakowskiem Przedmieściu, o której w swoim czasie wspomniałem.

Według pogłosek, wystawa będzie zajmującą i obfitą, ciekawych i cennych zabytków zebrano się dużo, jest zamiar wydania katalogu z objaśnieniami historycznymi przy ważniejszych okazach pamiątkowych i urządzania koncertów w sali wystawowej, na których wykonaneby były

nieznanych lub zapomnianych przez szerszą publiczność kompozytorów. Cieszę się, że mój pomysł na tem miejscu wyrażony, dostał się do komitetu i uwzględnionym zostanie.

Niewątpliwie kassa pożyczkowa, która dzięki dobrej opiece i administracji, rozwija się z każdym rokiem coraz korzystniej, zyska niemały zasilek z balu i wystawy; przyda się jej to na przyszłość.

Chciałbym, oby równem powodzeniem obdarowały losy inną instytucją, która w tych dniach dźwiękami zapuka do serc i kieszeni dobroczynnych Warszawiaków; mam na myśli Schronienie dla nauczycielek, tak rzadko odwołujące się publicznie do naszych względów i ofiarności, że chyba zapowiedziany na Piątek koncert z udziałem pani Essipow-Leszetyckiej, powinien zapełnić całą salę ratuszową w przyszły Poniedziałek.

Znakomita pianistka przybywa w tym celu do Warszawy, aby swoim niepospolitym talentem pomódz Schronieniu i przysporzyć mu trochę funduszków.

Dla melomanów naszych, p. Essipow jest gościem zawsze bardzo mile widzianym, jakkolwiek w tym sezonie sam dobór talentów zajmował, lub zająć ma nasze koncertowe estrady. Zofia Menter zapowiedziała również swoją wizytę i trzy razy ma grać publicznie; z Wiednia przybędzie kompozytor i pianista wysoce oryginalny, Schütt; z naszych muzyków zamierza dać koncert własny Władysław Żeleński, którego tak dawno już nie widzieliśmy w Warszawie, następnie dyrektor Noskowski układa programat ze swoich kompozycji, które zaprodukuje na estradzie również we własnym koncercie.

Muzyki będziemy tedy mieli pełne uszy, dodajmy do powyższych zapowiedzi, zwyczajne koncerty symfoniczne, wieczory kameralne, urządzane przez dyrektora konserwatorium; gościnnie występy w operze panny Russel, której się z nami tak trudno rozstać i p. Bulteriniego, tenora, biorącego tysiąc franków za każdy wieczór, spędzany na scenie Teatru Wielkiego.

Pan Bulterini ma fizioznomię wcale niepękną na Fausta, lub Raula, ma nogi za małe a brzuszki za duże, głos trochę gardlany i trochę zdarty forsownemi partjami, ale płacić sobie każe, jakgdyby był trzy razy większym śpiewakiem drożej od Arambura i pana de Negri.

Kuryer Świąteczny, jak zawsze najdowcipniejszy z naszych pism humorystycznych, krótko zdefiniował włoskiego śpiewaka: „Pan Bulterini, co może czyni, — przebac mu Boże, że mało może...”

Tym razem p. Mendezowi wycieczka na południe po tenora nie powiodła się szczęśliwie; dyrektor naszego baletu dotąd miał specjalność wynajdować talenta — nie w nogach lecz w gardłach, i wyręczał p. Rzebiczką w zasilanu naszej opery dobrymi śpiewakami.

* * *

Nowy rok rozpoczął sezon koncertowy niepospolitemi dwiema niespodziankami; dał nam poznać dwóch młodych artystów, których przyszłość powinna laurami obsypać. Jednym jest młodzieńca skrzypek p. Karol Gregorowicz, drugim młody pianista p. Józef Śliwiński; obu przed kilkoma laty słyszałem, jako obiecujących uczniów, a dzisiaj po powrocie z zagranicy, omal sobie rąk nie obtłukłem w oklaskach.

Pan Gregorowicz, jest ostatnim uczniem Wieniawskiego Henryka, następnie Donta w Wiedniu, ostatnio zaś Joachima. Szerokiej sławy jeszcze nie zdobył, ale koncertował już w wielu stolicach Europy i nosi w butonierze wstążeczkę portugalskiego orderu, chociaż mu się zaledwie wąsik sypać zaczyna.

Jest w jego grze jakaś mieszanina dodatnich wpływów pierwszego i ostatniego mistrza, pod którymi się kształcił, Wieniawskiego i Joachima. Technika wyborna, ton śpiewny, uczucia i temperamentu dużo, spokój i prostota bardzo sympatyczna; wszystko to niepospolite zadatki na wielkiego artystę, który dojrzeje równocześnie z dojrzeniem człowieka.

tyczna; wszystko to niepospolite zadatki na wielkiego artystę, który dojrzeje równocześnie z dojrzeniem człowieka.

Pan Śliwiński przybył do swej rodzinnej Warszawy po przejściu ogniowej próby na koncertowej estradzie w Wiedniu; krytyka tamtejsza bardzo pochlebnie oceniła jego talent, używszy nawet w zapale przymiotnika „genialny” przy określeniu gry polskiego artysty.

Zeszłego Piątku słyszeliśmy go w sali Resursy Obywatelskiej — i podziwiali obok talentu, niepospolitą siłę i wytrzymałość. Cały programat wypełnił koncertant sam, a grał kompozycje, wymagające forsy niezwyklej.

Pan Strobel który w tutejszym konserwatorium kształcił młodzieńczego ucznia i Leszetycki w Wiedniu, który ostatecznie kierował studjami jego, mogą się dzisiaj poszczycić rozwinięciem takiego talentu. Znać w grze pana Śliwińskiego, że czuje i myśli, a przede wszystkim, że nad sobą pracował dużo i sumiennie. Młodzieńcza krewkość i temperament ognisty, porywają go jeszcze zanadto, przynaglają tempa, ale się to jeszcze ułoży, artysta zapanuje nad sobą, wyrówna ten zbytek, jaki mu dzisiaj jeszcze niekiedy właściwą miarę psuje.

Lepsze to „zadużo,” niż owo „zamało” w naturach artystycznych.

Kiedy to mówię, przypominam sobie zaraz inny talent w innej dziedzinie sztuki, któremu zawsze zbytek temperamentu zarzucano, obawiając się słusznie, aby ten zbytek nie przeszedł w manierę; myślę o primadonnie naszego dramatu, pannie Marzelównie i o jej ostatniej roli w nowej komedii Jerzego Ohnet'a p. t. „Hrabina Sara.”

Oile francuzka nowalia okazała się odgrzywanym bigosem, o tyle gra artystki w roli tytułowej była niemal niespodzianką dla krytyki; nie było w niej niczego zadużo, coby raziło, ani zamało: znalazła się właściwa miara wszystkiego. Obešlo się bez wybuchów krzykliwych, bez rzutów gwałtownych, bez ryzykownych wyginań ciała, które w początkach artystycznej kariery panny M. stanowiły wadę, szkodzącą jej talentowi.

Ostatnia rola, to dowód postępu i dojrzałości.

Nie waham się powiedzieć, że tej grze i talentom innych artystów w obsadzie główniejszych ról, sztuka Ohnet'a zawdzięcza u nas większą część powodzenia.

Nazwałem ją „odrzewanym bigosem,” bo jak bigos składa się z rozmaitych kawałków, zbieranych z półmisków Dumasa, Feuillet'a i Augier'a, ale zaprzeczmy się nie da, że w tej nowej komedii przybyło nowego smaku całości. I publiczność kosztuje tego z apetytem, choć jej to przypomina znane i dawno strawione przysmaki francuzkiej kuchni.

Młoda żona starego męża, przystojny jego adjuwant, (pan mąż tym razem jest generałem w czynnej służbie), sentymentalna panienska z tych, co to jeszcze wstępowały do klasztoru po zawiedzionej miłości, wygadany rezoner „do czerowania wszystkich dziur w pończosze,” czyli do naprawiania złego w drażliwych sytuacjach, w którychby się nitka intrygi zerwać mogła, i grupa manekinów scenicznych, oto cały personel sztuki.

Połączył to sobie w możliwie najprostszą kombinację, a wytworzył się wam „Hrabina Sara;” nie będziecie potrzebowali czytać ani powieści pod tym tytułem, ani iść do teatru, by poznać treść wykrojonej z romansu komedii.

Jadałem w parzykach traktyerniach cielęcinę, która miała smak baraniny po stosownem przyrządzeniu; pomysłowy kucharz umiał takie figielki wyprawiać dla złudzenia ludzkiego języka...

Jerzy Ohnet, jeden z najbardziej wziętych i popularnych autorów dzisiejszych, przyrządza w tensam sposób swoje powieści i dramata; cały sekret smaku polega w... sosie, którym zaprawia stare i znane temata.

Francuzkie komedye mają u nas szczęście dobrej gry i starannej wystawy. Pan Tatarkiewicz w ciągu dziesięciu lat reżyssery swojej,

nabrał wiele doświadczenia, a Meiningeńczycy i wycieczka do Paryża, nauczyły go korzystać z dobrych wzorów i rozwinęły własną jego inwencyą.

W uznaniu zasług jego dla sceny z okazji dziesięciolecia reżysserskiej pracy, dyrekcya udzieliła mu pozwolenie na urządzenie benefisowego poranku, w którym przyjmą udział najcenniejsze siły komedii, dramatu i opery. W program widowiska wchodzi wyjątek z „Balladyny;” dla niego samego wartoby zapełnić całą salę.

Teatr nasz nie może się skarżyć w tych czasach na brak kassowego powodzenia; jest on jedną z tych instytucji, które bez deficytu zamykają swoje rachunki. Nie dziwi mnie to; na czele teatru stoi energiczny i doświadczony administrator, który z finansowej ruiny dźwignął scenę po pogorzeli „Rozmaitości” i w trudnych warunkach materyalnych musiał sterować tym okrętem Melpomeny, aby go nie osadzić na mieliznie, lub nie rozbić o skały podwodne.

Że tu praktyczne względy brały często górę nad artystycznymi, to prawda, ale groźba deficytu wisiła zawsze, jak miecz Damoklesa nad głową dyrekcji.

Wielkie rzeczy w najkorzystniejszych nawet warunkach, utrzymując dramat, operę i balet — nie mogą się bejsć bez niedoboru nawet przy stałym i gorącym poparciu publiczności. Sztuka jest wielką panią i utracyszka, nie lubi i nie może się liczyć; nie darmo ma Krus bogów w sobie, bogów olimpijskich, rozrzutnych i sybaryckich.

Mam przed sobą dzienniki russkie, które przynoszą wiadomość, że budżet dyrekcji teatrów cesarskich w Petersburgu i Moskwie przewiduje na rok bieżący deficyt w kassie półtora miliona rubli. W przeciągu ostatnich siedmiu lat, t. j. od czasu dymissji br. Küstera, ogólna summa strat wynosi już ośm milionów rubli, rachując w tem wydatki nadzwyczajne w teatrach moskiewskich podczas uroczystości koronacyjnych; a jednak zniesienie rządowej opery włoskiej, zmniejszyło i tak roczny deficyt o 1,300,000 rs.

W Wiedniu, Paryżu Berlinie, cyfry te wrażliwają do olbrzymich rozmiarów.

Wysokie gaże, ogromne honorarya autorskie, o których najzarozumialszy polscy komedyopisarze nawet po upiciu się szampanem — we śnie nie mogą zamarzyć, zbytkowne nad wyraz wystawy, pochłaniania bajonkie summy; nic też dziwnego, że obecnie w Anglii np. trzeźwiejsze umysły zaczynają powstawać przeciw zbytkowi na scenie i przeciw przepłacaniu „gwiazd” teatralnych.

Żaden geniusz twórca w sztuce nie zarobił tyle, ile zmarnowała jedna Sara Bernhardt ze swoich dochodów na scenie.

* * *

Kiedym się dowiedział, że podobno słynny dżokej w cyrku Schumanna, p. Cooke, pobiera tysiąc rs. miesięcznej gaży za to, że umie równemi nogami wskakiwać z ziemi na nieosiodlanego konia w biegu, chciałem z rozpaczy przewrócić koziołka, iż nie zostałem jedźcem par force, tylko literatem, który również nastawiać musi karku i wyprawiać rozmaite łamańce z piórem w rękę, a za to mu zaledwie kopiejkami płaca.

Cyrkowi p. Schumanna wiedzie się u nas bardzo pomysłnie, dzięki jego skoczkom i koniom, ale kiedy jednym szydła gołą, drugim nawet brzytwy nie chcą — i kiedy dyrektor trupy hecarskiej błogosławi swoich czworonożnych artystów, towarzystwo belgijskie kolei konnej z wraz większym marsmem goryczy i zawodu spogląda na swój czworonożny personel, zadyszany przy wagonach tramwajowych i klnie warszawską zimę wszystkimi językami.

Pomimo wszelkich możliwych oszczędności i uszczupłań, przedsiębiorstwo to coraz mniejsze zyski przynosi i coraz bliżej deficytu dochodzi; jako towarzysza niedoli ma na swe pocieszenie dessauską kompanią fabrykacją gazu, która od dwóch lat dokłada już u nas do budżetu swego i pomimo zniżenia ceny nie może zdobyć więcej konsumentów.

ŻYCIE I PRACA.

przez

Samuela Smiles'a.

ROZDZIAŁ . I

Gmin i szlachetni.

(Dalszy ciąg).

W pewnej dysproporcji staje u nas kwestya gazu z kwestyą zapalek; pierwszy tanieje, drugie zdrożeja, z powodu zaprowadzenia od nowego roku akcyzy od tych wyrobów. Budżet państwowy przewiduje milion rubli dochodu z tego źródła, ale ekonomiści i przemysłowcy twierdzą, że po ustanowieniu akcyzy zapalki zagraniczne będą o wiele tańsze od miejscowych i że jeżeli po jej zaprowadzeniu nie pójdzie w ślad podwyższenie cła od zapalek zagranicznych, produkcji krajowej grozi niechybna klęska.

W tych warunkach możeby praktycznie było wrócić do prymitywnego sposobu rozniecania ognia przez... tarcie, jak u ludów dzikich, albo do chubki i krzemienia, który naszym pradziadom zastępował zapalki.

Tylko, że pradziadowie nasi mieli więcej czasu i zdrowsze nerwy do tego.

* * *

Zawsze mi zakończenie moich gawęd żalobnym kirem osłaniać przychodzi.

Kilka świeżych mogił przybyło znowu, kilka krzyżów rozpiętych na tej smutnej ziemi, która jęknęła pod rydlem grabarzy, kopiących grób dla nieboszczyków zasłużonych. W Galicyi zmarł prawy obywatel i zacny syn tej ziemi, stary weteran w usługach publicznych, poseł na sejm krajowy: ś. p. Janko, dusza gorąca, zapalna, pełna miłości i poświęcenia dla tego, co nam najdroższe. Przez pół stulecia stał na stanowisku cobywatelskim, jak żołnierz na placówce posłuszny hasłom jednej idei, która mu przyświecała od młodości.

W szpitalu obłąkanych na Kulparkowie pod Lwowem zabity został brutalnością swego dozorca Izidor hr. Dzieduszycki, historyk, mąż znanej autorki Anastazyi, również umysłową chorobą dotknięty, szamocząc się z nim, dozorca połamiał nieszczęsnemu szaleńcowi żebra. Sprawa ta oblała się o sejm galicyjski i smutne światło rzuciła na zakład, w którym zabijają chorych i katują, zamiast dbać o ich zdrowie i życie. Oburzenie wzrosło tembardziej, że winowajcą był dozorca, który raz już karany był kryminalnie za podobne przestępstwo i po siedmiu latach więzienia przyjęty został powtórnie do zakładu z opinią „najlepszego dozorca“...

W wiliży wili w Statkowicach pod Lubarem w gub. Wołyńskiej rozstał się skołatany życiem poeta, duch niespokojny, ale silny, mistrz słowa niepospolitą, myśliciel rozburzony, ale śmiały, ś. p. Leonard Sowiński. W młodości swej zapowiadał się świetnie, w bardon uderzył z namiętnem natchnieniem i wielkie pieśni zaczął tworzyć, w których chciał zamknąć „Prometejowe tortury zrywającego się prawd najwyższych ducha.“ Mówił o sobie słusznie, że „szamotanie się tłumowi rozognionego myślenia społeczną, przemawiało mu do serca daleko potężniej, niż muzyka wiosenna majowego ranka!!

Połamiał skrzydła w wysokich lotach, namiętny nałóg spętał go i w więzieniu ciała duch rozbił się, tłukł, wyrwał do szlachetniejszych sfer ideału, bolał w niewoli, ale podnieść człowieka upadającego w poecie nie zdołał.

Zostało po Sowińskim dzieł nie dużo, ale we wszystkich niepospolitą umysł, płonący żar natchnienia, potęgą zmarnowana świadczyć będą o wielkim talencie, który rozprysnął się i popękał.

Nie piszę życiorysu ani studium o jego twórczości, należy mu się to w obszerniejszych rozmiarach na kartach naszej literatury. Schylam głowę tylko nad mogiłą nieszczęsnego, który sam w sobie pokoju znaleźć nie mógł; aż dopiero pod cementarną darnią; za życia żalowałem człowieka, po śmierci żał mi poety.

Niech odpoczywa w spokoju!

Quis.

Zapóźno!... jest to wyraz równający się przekleściu całego naszego życia... Zapóźno na pracę, zapóźno na miłość, zapóźno na zarobek szacunku, na powagę — zapóźno na reformę wadliwych stron życia, to za późno na powodzenie, na szczęście i nie zapóźno tylko na ruinę wykolejonego żywota.

Niema zmarnowanego życia tylko wtedy, gdy sami tego chcemy. Możemy się udoskonalić i podnieść, możemy udoskonalać i podnosić wkoło siebie innych — stać się sami lepszymi i ulepszyć drugich. Ale na to potrzeba cierpliwości i wytrwale używać wszystkich naszych moralnych i intelektualnych zasobów. Złote są te słowa miss Julii Wedgwood: „Ze wszystkich umysłowych przymiotów najrzadszą jest rozumna cierpliwość, a najwyższą lekcją ukształcenia moralnego jest świadomość, że mogą przyjść na nas nieznanne nam jeszcze trudności. Wielu ludzi rodzi się: e szlachetnymi przymiotami i darami natury, niemniej potrzeba jest każdemu z nich cierpliwej nad sobą pracy, aby życie przyniosło odpowiedni pożytek. Bacon, Newton, Watt, Pitt, Wellington, Palmerston, Byron, Walter-Scott — pracowali w ciągu swego życia ciężiej i więcej, niż najpospolitszy mechanik. Niema człowieka wpływowego w nauce, literaturze, polityce, któryby utrzymał swoją pozycję wśród ludzi i posuwał się wyżej, bez wytrwałej cierpliwości, wytrwałej pracy.

Wiktor Hugo powiedział: — W uporze jest wzniosłość! Kto jest śmiały, ma tylko porywczosć, kto jest waleczny ma tylko temperament, kto jest odważny ma jedną cnotę dumną, ale jedynie uparty może posiadać wielkość! Tajemnica wszystkich wielkich serc zamyka się w wyrazie: — Perseverando!... Wytrwałość jest względem odwagi tem, czem koło jest dla dźwigni — jest to nieustanne odnawianie się punktu oparcia. Quetelet rzekł, co można złączyć w całość ze zdaniem poprzednim, że człowiek, dążący wciąż do jednego celu, nabywa w końcu niesłychanej siły moralnej...

Buffon nie był dalekim od prawdy utrzymując, że geniusz wielkich ludzi polega na ich wysokiej cierpliwości. Nic ich nie zraża, nic ich nie nuży; każda chwila zostaje zużytkowaną na rachunek ich zamiarów. Maxymą Apellesa było: Żaden dzień nie powinien upłynąć bez jakiegoś rysu. — Ciągła i rozumna obserwacja nie opuszczała nigdy Newtona, a Watt mawiał: — Musimy stwierdzać to, co się da skutecznie; wykazując, to, co się skutecznie nie daje.

Kto posiada cierpliwość, i rozumną spostrzegawczość a spostrzeżenia swoje wypróbuje przez staranne badania, staje się wynalazcą, odkrywcą. Teorye są rzeczą ludzką, ale fakta pochodzą od Boga. Jedną z sił, którą powinniśmy głównie w sobie wyrabiać jest uwaga, cierpliwie zwracana na fakta. Newton zauważył, że jedyna zdolność, w której przewyższał innych polegała na tej sile, że mógł długo nosić w umyśle jedno zagadnienie i myśleć o niem ciągle, sprawdzać je przez powtarzane badania, dopóty, dopóki go nie rozwiązał.

Jago włożył wielką lekcją mądrości w te swoje słowa, mówione do Brabancy: — W sobie to jesteście tacy, lub owacy. Nasze jestestwo jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem. Jeżeli chcemy w tym ogrodzie siać pokrzywy, lub sałatę sardzińską, rozplenić hyzop, a wyrwać macierzankę; hodować jedno ziele, lub pielęgnować różnego rodzaju rośliny; zapuszczać go niedbale, albo

skrzętnie uprawiać, i możność ku temu i środki odpowiednie leżą w woli naszej. Gdyby waga władz naszych nie miała z jednej strony szali rozumu, dla zrównania z drugiej szali zmysłów, wtedy krew i ułomności naszej natury doprowadziłyby nas do najhianiebniejszych nadużyć... Jakkolwiek Jago może nam być nienawistnym, należy nam dziękować mu za tę zdrową lekcją mądrości.

Wolę mieć... tak! Wymaga to przecież odwagi — cierpliwej odwagi. Wymaga to hartu ducha, któryby umiał opierać się przeciwnościom, znosił je i trzymał się górą nad niemi, jakkolwiek byłoby to rzeczą trudną. Potrzeba tu tej stanowczej chęci, która się nazywa wytrwałością, a wytrwałość jest to energia w stanie stałym, która, gdy będzie stosowaną w pracy roztropnie i ciągle, staje się geniuszem. Szczęśliwe usuwanie przeszkód zasada się na tem prawie mechaniki: aby najwyższa summa siły, jaką możesz rozrządzać, skupioną została na punkt dany. Jeżeli twoja wrodzona siła mniejsza jest od siły kogoś innego, wyrównasz mu, skoro utrzymasz ją w wyteżeniu dłużej i skupisz ją mocniej, niż on. Geniusz bywa zwykle w pierwszych latach życia ludzi genialnych nieznanym nietylko innym, ale nawet i im samym. Dopiero po wypróbowaniu się kilkakrotnem człowiek, posiadający geniusz, ośmiela się na te myśli, że i on byłby zdolnym do czynów, przez które ci, co je spełniali, zdobyli sobie uwielbienie ludzkości. Źródło, które wytryska ze skały strumykiem, staje się przez przybieranie sobie okolicznych potoków rzeczką, potem rzeką, wreszcie częścią niezgruntowanego oceanu, a to jedynie z tej przyczyny, że wody jego stale i wytrwale płynęły w dal — ciągle, ciągle naprzód!

Wielu ludzi zniechęca się do działania wskutek trudności, które po większej części są sprzymierzeńcami człowieka, bo dają mu doświadczenie i uczą go cierpliwości. Ruskin twierdzi, że sztuka dlatego przedstawia głowę Herkulesa w pokryciu lwia skórą, a szpony ostrych pazurów pod brodą mu spina, aby okazać, że ciężkie przypadłości losu, gdy pokonanymi zostaną, stają się drogocennym nabytkiem, który ułatwia nam życie. Wypadki nie są nigdy bezwzględne, wyniki ich zależą od stopnia doskonałości i siły charakteru tych, których spotykają. Nieszczęście bywa często tym pierwszym wschodem kamieniem, na którym geniusz stawia nogę — człowiek silny pnie się po nim ku górze, gdy słaby leci zeń w przepaść. Jest wielu ludzi, którzy nie dosięgnęli możliwego wyniesienia z tej jedynie przyczyny, że nic nie zastąpiło im nigdy drogi życia. Wszystko w losach człowieka zależy od jego woli, od sprężystości jego chęci wśród danych życia położań, i skoro tylko pragnienie czynu dojrzeje nam w piersiach, droga do niego znajdzie się zawsze.

Życie jest wciąż postępem, nie przestajemy też nigdy Spodziewać się dobrego, ciągle walczący o lepsze, A przeciwność jest często mądrością dobrą mistrzynią,

Która budzi do życia śpiące nam w piersiach zdolności,

Wywołuje z nich wiarę i moc tej siły wytrwałej, Co zowiąc się poddaniem, dzielnością ducha jest [przecież...

Nie ma w życiu nic, coby w nieruchomości trwać mogło. Wszystko, co do ludzkości należy, albo postępuje naprzód, albo cofa się w tył. Gdy przeszkoda znajduje się na drodze, musimy ją przebyć, nie rachując się z trudnościami. Mądrym też było godło Filipa Sidney'a: *Viam aut inveniam, aut faciam...* to jest: Drogę sobie znajdę, albo ją utworzę...

Wygodne życie czyni nas rozpieszczonymi dziećmi, a trudności to pasują nas na męży. Wiele ludzi zawdzięcza szczęście swoje klęskom losu, pod których uciskiem pracując i walcząc z niemi, wywołali sobie z głębi ukryte tam władze i siły swe najlepsze. Moc, lub słabość charakteru świadczy o sobie najprawdziwiej w nagłych zmianach położenia, szczególnież też, gdy jest to zmiana na gorsze. Człowiek stracony nagle z góry na

dół, zostaje naraz zostawiony własnym siłom i rozwija wtedy nieprzeczuwane przymioty charakteru, które często wiodą go na wzniesienie i okrywają zaszczytami.

Cierpienie jest to ciężko orzający pług, którym kieruje żelazna ręka i w głębokie, bruzdy kraje on grunt twardy, ale tym-to sposobem daje on przystęp do jego wnętrza upłodniając go mocą natury i często sprowadza żniwa obfite. Nieraz współzawodnictwo, najsilniejszy antagonizm staje się właśnie największym błogosławieństwem człowieka. Wywołuje siłę, wywołuje energią charakteru, tak, że przeciwnik nasz staje się nam pomocnikiem. Wiele ludzi rwie się naprzód, ale porywy niemające za sobą wytrwałości są niczem. Wzruszenia, które istnieją i giną jedynie w formie wzruszeń, przyczyniają się bardzo mało do odrodzenia ludzkości. Tylko przez ciągłe wysiłki, choćby wśród upadków, spełniają się rzeczy wielkie. Upadki—mówi przysłowie angielskie—są filarami wygranej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

— Żle wyglądasz... — rzekł ojciec szorstko, gdy weszli do pokoju. Pokój to był jadalny, obszerny i widny, bo narożny miał cztery okna: dwa od strony dziedzińca, dwa od ogrodu, typowy pokój takich dworów wiejskich swojskiej architektury, wygodnych i dostatnio urządzonych, gdzie jednak, jak niegdyś w Czarnolasie, nie chcą wpuścić kasztelana, to jest pańskości, któraby wymaganiami swemi zmieniła ład spokojnego, pracowitego istnienia. Wszystkie meble były tu białe lakierowane, co przy zielonem obiciu w białe kwiaty i błyszczącej, dobrze wywoskowanej posadzce jesionowej, dawało całości wygląd niezmiernie wesoły i schludny. Nad lustrem, między oknami, od strony dziedzińca, zawieszony był wieniec z ostatnich dożynek; w szafce czarnej, malowanej w złote kwiaty, zapewne starej gdańskiej roboty, umieszczony był w rogu jednym zegar, którego gank regularny miał w sobie coś poważnego i jakgdyby nakazującego. Zdawało się wśród panującej tu ciszy, że słychać kroki czasu, idącego w wieczność. Dwa okna od strony ogrodu były otwarte, więc świergotanie wróbli na akacyi, rosnącej w pobliżym klombie wprowadzało tu ton inny z muzyki wiosny. Odzywała się i jaskółka, która miała gniazdko pod okapem dachu; czasem zarywała, jakgdyby melodyj słowiecziej, której jednak wydstać sobie z piersi nie mogła i wtedy ćwierkała smutno.

Woń rezedy, której rabata ciągnęła się wzdłuż ściany domu, złączona z aromatami różnego majowego ziela napływała do pokoju. Okna od dziedzińca, w które słońce właśnie bić zaczynało, były przysłonione białymi ruletami, pokój napełniony też był białem, spokojnym światłem, i wchodzącemu tu zwłaszcza zmęczonemu i bolesnemu wzruszeniami targanemu człowiekowi, mogło się to razem przedstawiać, jak raj ziemski. Takim też było wrażenie, któremu uległ Stanisław; znał on od dziecka każdy znajdujący się tu przedmiot, ale w tej chwili widział to inaczej, prawie jak rzecz nową.

— Żle wyglądasz... — rzekł mu w tej chwili surowy, ostry głos ojca. Niespokojnym wzrokiem obiegł on pobladałą, zmienioną twarz syna i uczył jakiś gniewny żal do niego a razem nad nim. Póki Stanisław miał kapelusz na głowie, nie było tyle znać, że zeszczuplał, że rysy twarzy przeciągnęły się. Zrobił się bielszym i wydawał się

przytem młodszym; przypomniał się ojcu chłopcem i poruszyło mu to serce.—Czyś ty chorował? — dodał łagodnie.

— Nie... miałem tylko wiele zajęcia w tych czasach — odparł Stanisław chłodno.

Serce miał ściśnięte. Mógłby był oprzeć bolące czoło o ten stół, przy którym posadził go ojciec i zapłakać, jakgdyby rzeczywiście był chłopcem. Woń nie wiosennych kwiatów może, ale kątów rodzinnego domu, upajała go i rozbierała. Wniesiono samowar i ojciec sam nalał mu herbatę, którą pił niemal chciwie, ale za kurczę pieczone, które lokaj postawił przed nim, podziękował. Ojciec patrzący nań ciągle z uwagą, ukroił mu sam świeżej, apetycznie wyglądającej baby, ale Stanisław pokruszył ją tylko i ojciec widział, że ledwo dotknął jej ustami.

— Jadłeś śniadanie w miasteczku? — zapytał.

— Nie... to jest piłem herbatę...

— Nie lubię, kiedy młodzi nie jedzą — rzekł p. Andrzej — trzeba jeść, aby mózg robić... Jest to zasada, której trzymałem się zawsze.

Człowiek ten był wskroś zdrowy ciałem i duchem; słabość wszelka, zwłaszcza w mężczyźnie, gniewała go i nie rozumiał jej poniekąd. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, krępy i, jak lud mówi, przysadzisty, wywierał na ludzi przy pierwszym na niego spojrzeniu wrażenie siły. Włosy i zarost miał czarny przy płci, często się zdarzającej u brunetów, bladej i białej, lekko żółtawej, jak kósć słoniowa, oczy przecieź były siwe—duże, długie, piękne oczy, które też miały w spojrzeniu głębokość i siłę, przenikającą ludzi, zwłaszcza gdy patrzył w nich badawczo, lub surowo. Urodziwym nie był, ale głowa uderzała jakąś wyższością i niepospolitością—czemś potężnym, co wyglądało zwłaszcza z szerokiego, niezbyt wysokiego czoła, o bardzo szlachetnych liniach. Broda czarna, krótko przystrzyżona, już w kilku miejscach srebrzyła się białym włosem, zaczynał też trochę siwieć od skroni, ale to nie zdawało się bynajmniej pozewem starości, bo włosy, które też krótkie nosił, były gęste i obfite; siła męskiego wieku widoczną była we wszystkim.

Zachowanie się syna zaczynało go teraz drażnić i udręczać. Podejrzewał go, że jest chorym i niepokój ojcowski kłuł go w serce. — Na wzruszenia karciarza, na noce bezsenne spędzane ma dość sił i zdrowia, ale zasłużony wymiar sprawiedliwości czyni go chorym... myślał, burząc się w sobie, i patrząc na zbladłe oblicze Stanisława. Nic sobie nie wyrzuczał, bo zasada, według której postępował, była w nim niezachwiana, ale bolał i czuł, że nie ma na to rady—że ta boleść wpleść się musi w jego życie. Energia jego natury stawiała temu opór w gniewnem podrażnieniu.

— Czy widziałeś w miasteczku nowy parkan koło ogrodu proboszcza? — zapytał syna, aby coś mówić. Patrzył na jego delikatne, piękne ręce z długimi palcami, a i to go gniewało. Jego ręka była inna. Starannie też utrzymana, szersza była przecieź i krótsza, porastał ją przytem włos czarny. Znać było, że może ujmować silnie i trzymać mocno.

W tej chwili ktoś uchylił drzwi i postać w siwej sukmanie stanęła w progu. P. Andrzej nie miał żadnego rzędzie, żadnych ekonomów; na wszystkich trzech folwarkach gospodarował sam, jedynie przy pomocy włodarzy, których sam też sobie kształcił z miejscowych ludzi i trzymał tylko jednego pisarza do pomocy w prowadzeniu regestrów i załatwianiu drobnych spraw wójta gminy, którym też był sam. Sąsiedzi nazywali to skąpstwem; on przecieź trzymał się tu zasady, która miała w sobie rację obywatelską i była uczciwą ze względu na lud. Kiedy mu mówiono, że dla lichej sumki kilkuset złotych naraża się na mnóstwo przykrości, odpowiadał najpierw, że niema na świecie żadnej sumki lichej, bo nawet grosz nierządno waży wiele dla tego, który go nie posiada, następnie dodawał że nie samymi karmelkami człowiek żyje i że połykanie goryczy bywa nieraz obowiązkiem. Ale to przykładanie się osobiste do wszystkiego w swoim zakresie, czyniło go często niewolnym, i teraz tak się stało. Karbowy przychodził mu powiedzieć, że coś się zepsuło w maszynie,

wsieczkarni, że jakiś sprych źle chwyta. — Niech tylko koło kogo nie pociągnie, której z dziewcząt poddających! — zawołał p. Andrzej niespokojnie, żywo wstając od stołu. — Połóż się i prześpij — rzekł do syna. — Zmęczony jesteś...

Stanisław chciał odpowiedzieć, że pójdzie do siebie przebrać się, ale nagle coś go onieśliło, jak gdyby ściśnięcie za gardło. To do siebie, znać było dwa pokoje na górze w facyacie od ogrodu, które były jego pokojami od czasów szkolnych. Niegdyś służyły jako gościnne, ale gdy, skończywszy czwartą klasę, przyjechał do domu, znalazł je urządzone dla siebie staraniem matki, przecieź w skutek dyspozycji ojca.—Już z dziecka wyrosł na chłopca i trzeba usamowalniać go powoli — rzekł do żony. — W Rzymie zmieniano młodzieży suknie w biegu lat i dobra to zasada pedagogiczna; trzeba czuć od młodu, że się przebywa wschody życia, bo uczy to czuć, że czas płynie... W skutek tego Staś, przyjechawszy z Radomia po skończeniu czwartej klasy, został panem górnego pięterka które matka upiększyła jak mogła i gdzie ojciec ustawił sam biurko do pisania, i wstawił szafę z książkami.

Jak je starannie dobierał! Jak starannie przemysliwał wszystko w wychowaniu syna. Widział w nim swego następcę na tym kawałku starego gruntu, który mu był drogim, jak życie.

Stanisław od lat tylu tak uważał pokoje na górze za należące do niego, że teraz mechanicznie byłby się skierował na wschody, które tam wiodły, jak mechanicznie byłby powiedział ojcu, że pójdzie do siebie, gdy nagle zatamował mu się głos w piersiach. Czyż on już mógł nazwać tu cośkolwiek swoim?—Czyż już mógł powiedzieć o którymkolwiek kącie rodzinnego domu, że jest u siebie?

Pan Andrzej oddalił się prędko a syn pozostał sam z tem gorzkim uczuciem wydziedziczenia. Trzeba mu było rzeczywiście spocząć, bo czuł się wyczerpanym nad siły, ale opanowały go teraz niewpokój smutny — nieśmiałość. Gdzie miał się zwrócić? Może pokoje na górze były zamknięte i czyż miał zawołać na lokaja, by mu wskazał, gdzie jest miejsce przygotowane dla niego?

— A...—rzekł z goryczą i żalem niewymownym—zgotowałem sobie nie miękkie łożo życia...

Ale Jakób był od tego, aby czuwać nad panem swoim. Skoro tylko p. Andrzej wyszedł, on zaraz wsunął się do Stanisława:—Niechno pan pójdzie położyć się i przespać — rzekł. — Starszy pan będzie tam miał nie godzinę roboty. Wyleciała jakaś mutra i bogdaj czy się nie skręcił walec; posłali na wieś po kowala i niech pan idzie na górę klasć się zaraz. Tak pan źle wygląda, że aż strach patrzeć...

Dziwnie rozczulające wzruszenie ogarnęło Stanisława. Więc on tam jeszcze będzie dziś spał, na tem łożku, które mu ustawiła matka?...

Szedł za Jakóbem, który wziął jego saczek podróży i jakgdyby torował mu drogę. Został też drzwi już otwarte przed sobą: stare ściany witały go gościnnie i było w nich wszystko podawnemu. Nic się tu nie zmieniło, prócz w nim...

Jakób już mu naszykował wodę na wielkiej miednicy. Potrzeba mu też było chłodnej wody, aby zanurzyć w nią bolącą głowę, aby nią przyskać w pałace, piękące go oczy. Chciwie się rzucił do tych ablucyi, zmęczył się niemi i potem zmęczony cisnął się na rozebrane już też łożko, ale wierzchem na koldrę. Nie myślał spać, nie myślał się okrywać, trzeba mu tylko było odpocząć, oh! odpocząć...

Ale nie upłynęło i dziesięciu minut, a już oczy mu się zamknęły i usnął twardo, jak kamień. Jakób zasnął uważnie rulety zapuścił franki, które kiedyś matka usnuła sama dla syna. Nie było to już te, oleniające niegdyś mocny sen chłopca, któremu śniły się konjugacje łacińskie; lecz gdy miał wracać z zagranicy matka na krótko już przed śmiercią sprowadziła z Warszawy i ustawiła na górnem jego pięterku nowe, piękne, międko wysłane meble, zostawiając z dawnych tylko sprzęty pamiątkowe i wieszając franki, na które padła niejedna jej łza. Wyschły one, ulotniły się w powietrzu i Stani-

ślaw nic nie wiedział o nich, jak się lały cicho i boleśnie, ale duch macierzyński przyszedł tu może teraz przez lez tych zakłęcia i bronił, aby zmęczone jego oczy nie drasnął ani jeden promień słońca i wyczerpany spał też bez przebudzenia żadnego do godziny piątej.

Gdy się ocknął wreszcie i otworzył oczy, stało się z nim tak, jak bywa nieraz po śnie podobnie mocnym: nie wiedział, gdzie się znajduje, ale Jakób nasłuchujący w pierwszym pokoju każdego jego ruchu, zjawił się zaraz i zraportował, która jest godzina i to, że pan starszy, który najmocniej zakazał go budzić, już zjadł obiad. Na wsi ludzie gospodarni, wstający rano, jedzą go w godzinach południowych, dających wypoczynek wszystkim dokoła: robotnikowi, który od świtu znoił się na zagonie i zwierzętom, które wespół z nim pracowały. Pański szyk zmienił gdzie niegdzie ten dobry obyczaj stary wspólności z otoczeniem swoim, ale w starowiejskim dworze utrzymał on się dotąd i p. Andrzej zrobił tylko dziś wyjątek dla syna, o którego w sercu był bardzo niespokojny i silnie stroskany. W myślach swoich o nim wyobrażał sobie, że Stanisław, jeżeli rzeczy lekko nie przyjmie, jeżeli sercem jest jeszcze związany z przeszłością i domem rodzinnym, uczyni jakiś krok, który mu przebaczyć pozwoli, który da nawet pierwszy początek powrotowi jego do domu. Więc też teraz uczuł się silnie dotkniętym, spotkawszy się z dumną rezygnacją syna. Ze przeciwieństwa była to obojętność, widział po zmienionej twarzy Stanisława.

Lecz cóż zatem? Jeżeli to była duma, to czyż winowajca może myśleć, że ma prawo do dumy?

Przytem to był syn, a on ojciec. Choćby paść do nóg rodzicielskich, choćby te nogi całować, to nie wstyd jeszcze, nie upokorzenie!... Przypominał sobie, jak on niegdyś całował różowe nóżki dzieciny, którą mu przynosiła młoda żona, gdy wracał do domu uznojony. O, jak on je całował, jak całował każdy paluszek maluchny! Przypominał to i walczył ze wzruszeniem. Stanisław powinien był, przyjechawszy, przypaść mu do kolan; inaczej nie mogła nastąpić żadna zmiana w ich wzajemnym położeniu.

Ale widać nie uznawał on, że nędzne trwonienie grosza było grzechem, było występkiem przeciw najświętszym obowiązkom uczciwego obywatela, przeciw najświętszym obowiązkom względem starego gruntu, na którym wyrósł.

Tak! Stanisław nie uznawał tego, skoro się zaciął hardo... Ale i on, ojciec, to potrafi i dla tego właśnie, że ojciec... Bóg dał ludziom głowę wyżej od serca i uczucie, musi też stać niżej wobec obowiązku.

Mówił to sobie rozgoryczony, zirytowany, ale mimo to wszystko nakazał służyć, aby wkoło dworu było, jak gdybymakiem zasiał, a kucharzowi zadysponował, aby trzymał w pogotowiu obiad dla młodszego pana. Ze zaś chciał, aby był świeży, dodał jeszcze do dyspozycji, aby wsadzono coś na rożen, skoro tylko Jakób powie, że p. Stanisław się obudził—ale coś smacznego.

Nie była to pora zwierzyny. Kurczęcia nie chciał Stanisław jeść rano, więc nie wiedział, co miał dysponować:—Cóż smacznego... powtórzył—coś delikatnego, bo młodszy pan nie był zupełnie zdrow...

— Chybaby perliczkę, proszę jaśnie pana... — odparł kucharz Jacenty, też dawny sługa i biorący to również do serca, aby Stanisław zjadł coś smacznego...

Stańko na perliczce i Jakób donosił teraz o tem Stanisławowi. — Starszy pan sam dysponował — objaśnił. — Dałem znać skoro tylko pan nogą trącił krzesło i wsadzili już na rożen, piecze się...

Przyniósł mu potem obiad na górę, nie puszczając miejscowego lokaja za pomocą argumentu, że już to młodszemu panu, to on tylko służy. Stanisław nie miał nic w ustach od wyjazdu z Warszawy, gdzie też nie miał szczególnego apetytu i zapach potraw obudził w nim głód instynktownie. — Zwierzęta jesteście... — rzekł sobie, ale obiad zjadł.

— No, tak to dobrze... — pomrukiwał Jakób, zmieniając talerze. Nalał mu i podsunął kieliszek,

wina a przy czarnej kawie domósł, że przyjechali goście — Stary kapitan Wolski z Zakrzywia, pamięta pan? Ale jest z nim jeszcze ktoś—ktoś wart, aby pan też zeszedł na dół.

Stanisław potrząsnął głową przecząco, ale goście byli mu prawie na rękę, bo oddalało to chwilę spotkania z ojcem. Serce miał głęboko rozdarte i bolące, jak jedna rana, a p. Andrzej dobrze określił to, co się z bólem tym łączyło... zaciął się...

Zaciął się z żalu, z goryczy... Wyobrażał sobie, że ojciec wyrzucił go już całkiem z serca, że przestał go już kochać zupełnie.

Przyznawał mu poniekąd słuszność. Czuł, że nie był takim, jak powinien, że nie przynosił ojcu pociechy. Słabość swoją, nędzę swoją moralną znał i gardził nią—gardził sobą, ale któż poda rękę błądzącemu, jeżeli nie rodzice? O!... gdyby matka była żyła...

Wiele, wiele rzeczy byłoby poszło inaczej. Już za powrotem z zagranicy byłby inaczej postępował; nie byłby wyjechał z domu. W ojcu, który sam był zawsze silnym, mocnym, jak z jednej sztuki, odgadywał, odczuwał wzgardliwe względem siebie usposobienie. Czy to było prawdą, a nie widmem karzącym, które zawsze przesładuje ludzi, którzy źle postąpili i czują wstyd tego w sumieniu swoim, nie badał nigdy. — Jest wyższym, lepszym odemnie, może ze szlachetniejszych pierwiastków ulanym, ale czyż można sądzić wszystkich bezwzględnie, ważyć na szali jednej zasady? myślał z żalem ciężkim i wtedy, gdy wyjeżdżał z domu i teraz, kiedy do niego wracał wydziedziczony.

— Nie nawidzi mnie już tylko, widzi we mnie nic i słabość jedynie...—powtarzał sobie przez całą długą noc bezsenne podróży, a duma wrodzona mu, która została ukłutą zaraz, skoro się spotkali, zbuntowała mu serce żalem zacietym. Gdyby przecież nie szło tu o majątek, o pieniądze, nie byłby jednak tak się postawił wyniosłe, tak się zamknął w chłód, niby spokojny. — Choć jestem gracz, choć ludzie nazywają mnie szulerem i takśują odpowiednio, ojciec musi się niemniej przekonać, że interes nie powoduje mną nigdy—myślał w rozżaleniu i gdy był miał w tej chwili sto tysięcy, milion dukatów w złocie, należących do niego, byłby je jednym zamachem rzucił w ogień, w wodę i widząc, jak się topią, byłby dopiero podniósł głowę i patrząc w twarz ojcowską zwycięzko, byłby mu rzekł wyniosłe:—Patrz ojcze, że podłym nie jestem...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— W niemieckim czasopiśmie dla nauczycieli wyższych: „Zeitschrift für das höhere Unterrichtswesen Deutschlands“ mieści się artykuł Dr. Nessig'a, zawierający bardzo dobrą radę dla młodych nauczycieli, a która niezależnie od wywołujących ją okoliczności, może być zarówno dobrą radą dla nauczycielek, i nie tylko dla nauczycielek. Kandydatów na posady nauczycieli wyższych jest w Niemczech więcej, niżeli miejsc do zajęcia i Dr. Nessig radzi, aby ci, którzy ich nie znajdują, zwracali się w czasie oczekiwania na nie do szkół ludowych i tam rozpoczynali praktykę nauczania, które przedewszystkiem powinno mieć za podstawę znajomość dziecka, jego umysłowości i natury moralnej, co w szkole ludowej daje się odczuwać daleko łatwiej i lepiej, niż gdzieindziej, bo tu dziecko okazuje się otwarcie takim, jakim jest w swoich przymiotach i wadach, w swojej sile obejmowania myślą otaczających je przedmiotów i pojmowania rzeczy oderwanych, jakie nauka z konieczności przedstawia umysłowi, nawet w początkach swych najpierwszych.

Obok znajomości dziecka nabiera się tu i pewnej miłości dziecka, z którego to uczucie po-

wstaje w dalszym ciągu zamiłowanie zawodu nauczycielskiego, bez czego nauczycielstwo obyć się nie może, jeżeli tylko ma być dobrze i skutecznie wykonywane. Dr. Nessig zaznacza następnie, że taka praktyka nauczania w szkole ludowej mogłaby wyświadczyć wielkie usługi i sztuce wychowania wogóle. Młode panny z klas zamożniejszych, które słuchały w zakładach naukowych wykładu pedagogiki, powinnyby zaraz następnie podeprzeć teorię praktyką i kształcić się do przyszłego zawodu matek rodziny, przez nauczanie dzieci ludu, a dodać tu trzeba, że sposobność do tego może mieć każda, która tego zechce.

Na wsi, czy w mieście każda może znaleźć dziecko ubogie—ubogich dzieci dwoje, troje, którymby poświęciła parę godzin dziennie, z korzyścią o wiele większą dla siebie i społeczeństwa, niż mozolne kształcenie się w różnych talentach salonowych, do których najczęściej nie ma się ani zdolności, ani zamiłowania rzeczywistego.

Na wsi nauka początkowa, przedszkolna, dzieci służby dworskiej, w mieście dzieci stróża, dzieci ludności z facyatek i suteryn, oto pole tej wprawy wychowawczej, potrzebnej zarówno każdej młodej panie, bo nie tylko łączy się to z usługą najszlachetniejszej dobroczynności, ale jest zarazem dobrem nagięciem, danem istotie młodej—skierowaniem jej umysłu i uczucia do rzeczy poważniejszych, niż zabawa i gałganek modny: jest obroną bardzo skuteczną przeciw życiu pędzonemu w nieoświ, bez żadnego wyższego, szlachetniejszego celu.

— Francuzka literatura pedagogiczna zubożyła się książką poświęconą najważniejszemu zadaniu wychowania—zadaniu kształcenia charakterów: „L'Education du caractère, par Alexandre Martin.“ (Paris, Hachette). Autor jest profesorem pedagogiki na uniwersytecie w Nancy, więc posiada kwalifikacje naukowe, potrzebne do traktowania przedmiotu, który jest ostatnim celem i koroną wszelkich zabiegów edukacyjnych. Nauczanie—pisze autor powinno być dziełem kształcącym w uczniu człowieka i nauka nie może tu być traktowaną dla samej siebie, dla tych wiadomości, które daje, dla wiedzy, które one przynoszą. Zadanie szkoły nigdy się tak ograniczyć nie może. Najpierw przez dobrą nauczania metodę powinna ona rozwijać inteligencją, usposabiać umysły, aby umiały i mogły oświecać się jeszcze i kształcić już poza szkołą. Jest to bezwarunkowo cel szkolnego nauczania najpierwszy, ale jeszcze nie całkowity, nie jedyny i edukacja, któraby poprzestała na tem, nie spełniłaby zadania swego w zakresie obowiązującym.

Młodzież uczy się dla życia, w którym kiedyś ma działać i czy szkoła wywiązała się z obowiązku swego źle, czy dobrze, sądzonem być musi więcej na podstawie, co ta młodzież czuje i myśli, niż co wie. Charaktery wyrobione stanowią tu będą więcej, niż wiadomości posiadane: „Ule wartą jest dusza tej osobistości, która przychodzi zająć miejsce swoje w społeczeństwie, tyle wartym być może człowiek prywatny i obywatel“... pisze Martin, powtarzając to w książce swojej kilkakrotnie i z naciskiem, że w wychowaniu nauka nie może, nie powinna być celem w sobie zamkniętym, i dlatego to wszyscy nauczyciele wyższego ducha i podnioślejszej myśli, prawdziwi pedagogowie, usiłowali być zawsze dobrymi wychowawcami, kształcącymi charakter szych uczniów za pośrednictwem nauki i przy jej współdziałaniu.

Nauczyciel ludu niemieckiego zwyciężył Francją!—wołano kiedyś w godzinie okrutnego tej Francji pogromu i każdy z rozumnie obserwujących wypadki, był tego zdania. Martin nie dotyka upokarzającego dlań przedmiotu, lecz zdaje się mieć go na myśli, gdy pisze, że uzasadnionym jest zarzut, jakoby szkoły francuskie więcej dbały o realną treść nauki, niż o jej strony moralne, kształcące w uczniu człowieka. Uczą dużo, ale mało zajmują się duchową stroną wychowania młodzieży, co odbiło się na narodzie w chwilach, gdy charaktery mogły jedynie zaważyć na szali jego losów. Gdzie ich brakuje, tam gmach publiczny pada i gruzami swymi przy-

tlacza wszystkie rezultaty wiedzy i nauki posiadanej.

Wychowawcze zadanie szkoły—zadanie kształcenia charakterów, jest o wiele trudniejszym od nauczania. Nie starczy tu wykład lekcji na zasadzie ostatecznych wyników nauki: nauczyciel wychowawca musi mieć sam w sobie szlachetnego ducha i musi go przelać w pierś uczni—musi się nim podzielić z niemi, tchnąć nim na nich—musi działać na ich charaktery.

Kształcenie charakteru to najwyższe zadanie szkoły i nauczyciela, jest dziełem delikatnym: „oeuvre délicate.“ Obok nauki i uczciwości potrzeba tu jeszcze taktu i powagi moralnej, którą przecież może dać nauczycielowi wobec uczni tylko godność jego osobista.

Charakter jest wytworem wielu czynników moralnych i fizycznych: przymioty i wady, porywy i zdolności silnie są w człowieku splecione i związane ze sobą. Ktoś, co by pozwolił w wychowaniu działać naturze, bez żadnych usiłowań kierowania nią, pozwoliłby rozwinąć się energii instynktownej i osobistej, która przecież mogłaby się zwrócić tak w stronę dobrą, jak w stronę złą, niebezpieczną dla istoty wychowywanej i dla społeczeństwa, wśród którego ma ona żyć i działać. Z drugiej strony zbyt mocne i ciasne ujęcie natury i kierowanie nią despotyczne ma w sobie równe temu i groźne niebezpieczeństwa. Charaktery, z natury silne i niepodległe, buntują się przy oporze stawianym, targając wszystkie węzły ujęcia wychowawczego, stają się samowolne i nieugięte, gdy słabsze i miększe z natury zatracają w sobie wolę i energię, popadają w bierność i razem wytwarzają to mierność, które nigdy nie staną się Katilinami, ale też nigdy Brutusami nie będą—nie będą zatruwać społeczeństwa swymi występami, ale go też nie podniosą przez szlachetną i wzniosłą cnotę, przez szlachetną i wzniosłą walkę o rzeczy drogie ludzkości, przez ofiarę dla idei.

Autor stawia tu za przykład Fenelona i jego królewskiego wychowawcę. Kto chce chować za dobrze, zabezpieczyć, wychowuje nicości, a ludzkość wogóle, tak, jak dzisiejsza Francja w szczególności, potrzebuje ludzi silnych i samoistnych, których wychowanie powinno przecież skierować i podnieść duchem do ideałów i pragnień wyższych nad używanie i poziom istnienia, będącego sobie osią, w koło której obracają się wszystkie myśli i pożądania niby niezłych małoludków. Gdzie przeważają tacy: spokojne, ciche, przy ziemi pełzające egoizmy—gdzie nie ma duchów męźnych, serc gorących, energii silnej i śmiałej, tam nie będzie nigdy porywów wielkich, ofiar bohaterkich, czynów odwagi szlachetnej—tam społeczeństwo poniża się i nikczemnieje, a naród źle jest reprezentowany przez pokolenie wyrodzone.

Książka rozbiera po kolei wszystkie wpływy zewnętrznego świata i wewnątrz człowieka tkwiące instynkta i skłonności, z których razem przez oddziaływanie wzajemne tworzy się charakter i urabia osobistość. Co dziecko przynosi ze sobą w dziedzictwie po przodkach, co mu dają pierwsze nawyki i przykłady, wychowanie rodzinne i kierunek szkoły, korzyści i szkody karności wychowawczej, rozmaite odmiany nagieć i działań edukacyjnych, potrzebnych przy rozmaitych właściwościach charakterów młodzieży, wszystko to podnoszone i rozpatrywane przez autora, doprowadza go razem do konkluzji, że celem i obowiązkiem wychowania jest:

I. Uczynić z istoty wychowywanej czynnego, myślącego, czującego człowieka; rozwinąć w nim wszelką możliwą energią, dając mu przytem za przewodnika uczucie obowiązku, uczucie wspólności narodowej i braterstwa ludzkości.

II. Natchnąć młodego ducha miłością szlachetnego ideału, który wobec wielkich interesów ogółu podnosiłby by serca po nad własny interes, własną korzyść, miłość własną i w potrzebie nakazał się poświęcić dla ukochań szlachetnych, dla idei wzniosłej.

Razem dzieło Alexandra Martin jest bardzo rozumną i bardzo pożyteczną książką, pełną rad dobrych i praktycznego zastosowania, szkoda tylko, że napisana jest trochę ciężko i zbyt dy-

daktycznie. Zwraca się ona przeważnie do nauczycieli i nauczycielek, zostawiając wychowanie rodzicielskie na boku, niemniej przecież i rodzice przeczytać ją mogą z niezaprzeczoną pożytkiem dla edukacyjnego zadania w kształceniu charakterów dzieci swoich.

M. J.

ECHA LWOWSKIE.

Lwów 7 Grudnia 1888 r.

Mróz tu, w prastarem gnieździe naszym, zdaje się chwilowo swój tron ustawił. Wśród niezwykle ciepłego i pięknego Grudnia z m., nocami dawały się słyszeć jakieś zachrypnięte gęgania czy krakania w powietrzu: były to głosy nurków podbiegunowych, wygnanych w nasze cieplejsze strefy przez nadzwyczajnie zimną we własnej ich, niegościnniej, ojczyźnie. Doświadczeni myśliwi, a mamy ich tu sporo—z całą stanowczością odtąd twierdzić zaczęli, że pomimo ludzających pozorów ciepła zimą będziemy ostrą. Skrzydlaci gońcy podbiegunowi, choć ich pobito i pozjadano za przejście naszej granicy, niemniej przeto raz jeszcze stwierdzili starą, jak świat, prawdę o nieomylności instynktu zwierząt. Wprawdzie w noworocznym nrze *Łowca*, hr. K. Wodzicki, w przesłicznym przeglądzie myśliwsko-przyrodniczym, doszedł z przeszłorocznego opisu ptaków wędrownych na wiosnę do bardzo niepoehlebnego ocenienia ich instynktu: nagięło ich mnóstwo, zwłaszcza bożych śpiewaków, skowronków—i oto głos „nieomylny“ zaprowadził je wprost na puchowe łoża—śniegu i mrozu, w objęcia śmierci. Co śmiertelne, to z konieczności być musi i omylne. Mniejsza o ptaków; ale jakżeby inaczej ludzkość wyglądała, gdyby o tem jej przewodnicy pamiętali?...

Świat starożytny cały na wieszczenniu stał: wieszczkowie i wieszczki głosili wolę bogów podług instynktowych odruchów ludzi i zwierząt, ze zjawisk niezwykłych natury, ze snów, widzeń i t. p. Państwa i narody ulegały we wszystkim ich wskazówkom i błomaczeniom. Co to wszystko było warte, świadczą o tem wymownie dzieje starożytne, których treść istotna ma w sobie, obok przewagi zwierzęcości—coś i z sennego marzenia i z porywów obłąkania. Geniusze rozumieli to i, jak mogli, ostrożnie od tego odwodzili. Na blisko pięć wieków przed Chr. Eurypides w *Ifigenii w Taurydzie* powiedział:

Orestes: „Kto rozważny polega na wyroczeniach wieszczków
Ginie też:—a jak ginie: to wiedzą świadomi...”

Na potwierdzenie tego surowego wyroku ileż to napotykamy codziennie wieszczb, częstokroć nieomylnych napozór, które się wcale nie ziszczają, albo, co gorsza, boleśnie naodwrot wypadają!... Pomimo to jednak.. zawsze wracamy do nich. Dlaczego?—Bo w nich leży źródło „wielkiej tajemnicy“, z której wytryska źródło nadziei, wszechmocnej lekarki smutków, utrapień i dolegliwości ciernistej drogi żywota. Gdyby nie nadzieja, czyżbyśmy naprawdę byli w stanie coś większego dokazać w życiu? — Zkąd ustępuje nadzieja—tam śmierć swe kiry rozściela. Nie byłoby życia na ziemi, gdyby nie nadzieja, a z niej i wiara, co swą kotwicą przytwierdza dusze do idealnej skali dobra, prawdy i piękna.

Krążąc tak około tematu wieszczb, znajdujemy się w trudnym położeniu wróżenia czegoś nader pomyślnego na ten rok, choć mroźne doświadczenie występuje tak widocznie swymi iskrzącymi palmami i gwiazdami na zamaryżych szybach, w groźnych pogłoskach obiegających nasze ziemie... Tymczasem staroświeckie przysłowie nęci nas do postawienia, wbrew temu, pomyślnego horoskopu. Rok Nowy mieliśmy tu,

we Lwowie, choć bardzo mroźny, ale pogodny i owóż stara gadka tak powiada:

Nowy Rok pogodny,
Zbiór będzie dorodny.

Niektórzy już gotowi byli uwierzyć, że przepowiednia św. Malachiasza: *Quando Marcus pascam dabit*, a z nią i koniec świata na 1886 rok zwiastowany, na 1887 został przeniesony. Na chlubę Galicyi trzeba to powiedzieć, że nigdzie może, jak tutaj, nie uczczono tych zgonów znakomitszych mężów publicznej zasługi. Najokazalej odbył się pogrzeb Kraszewskiego w Krakowie. Kilka dni temu pochowaliśmy Henryka Jankę w Horzanach, prawdziwie posagowego człowieka przez obywatelskie uczucia. Niesłychanie rozczulający widok przedstawiał obchód pogrzebowy po jego skonie. Była to czysta i anielska dusza a twarda, jak brylant. Obok inteligencji, przybyłej z całego kraju, wystąpili na pogrzebie i włościanie w niebываłej dotąd liczbie. Blisko 40 wieńców nosły delegacje włościańskie ze wszystkich wsi okolicznych. Nieustający pochód śmierci przez szeregi „najwybitniejszych“ zatrzymał się na tym ukochanym ludu i narodu, jakby przerażony własnym dziełem zniszczenia.

Te zgony nieodżałowane i przerażające, nie powiemy, by nie wyszły nam na korzyść. Spoważnialiśmy niejako, opuściła nas, właściwa Galicyanom zbytnia ufność w zmiłowanie boże: „jakoś to będzie“. Dziś, co tylko przedsięwzięrzemy, czynimy to z chłodniejszą rozważą, ale i z większym meztwem, niż przed rokiem. Mogą nas dotykać kłeski, lecz się ich wcale nie lękamy, polegając na własnych siłach, których hart dopiero co się dokonał w trudnych przeprawach z losem.

W tym czasie uczyniono najwięcej dla szkolnictwa ludowego. Pomówimy o tem obszerniej, gdy się skończy obecna kadencja sejmowa. Równomiernie z prawodawstwem autonomicznem rozwijały się u nas i inne ludowe zarządzenia, zwłaszcza „kółka rolnicze“, których liczba doszła do 383, co jest już olbrzymim postępem na tem polu. W wielu miejscach obok „kółek rolniczych“ powstawały handele włościańskie po wsiach, i wiele z nich dobrze się rozwija. Co prawda, ostatnia ta próba wzbogacenia ludu, nie bardzo przypadła do gustu wszystkim, ale to bynajmniej nie zraża początkowania. Ludzie, którzy je pochycili nie przestają zachęcać wieśniaków po najpodlejszych wioskach do robienia prób w tym kierunku. Zapewne, handel nie wzbogaci nigdy ludu rolniczego, zwłaszcza, gdy się nie ma morza w posiadaniu; pamiętamy też o tem: i oto z całych sił pracujemy nad rozkrzewieniem przemysłu t. z. domowego, który dzięki temu rozwinął się znakomicie, jak to okazała niezbita wystawa krakowska w ubiegłym roku.

W szkołkach naszych przemysłu domowego wiadać ciąglej postęp. Wyroby pochodzące z nich już zaczynają przybierać cechy prawdziwej sztuki, jak np. koronkarskie lub snycerskie, zwłaszcza z Rymanowa. Zawadziwszy o Rymanów, niepodobna nie dorzucić słówka o jego czcigodnej dziedziczce, hr. Potockiej, która powinna służyć za wzór wszystkim Polkom w pojmowaniu obowiązku obywatelki mistrzyni ludu. W jej szkołce snycerstwa, wydającej wyroby przewyższające gustem i trwałością podobne zagraniczne, obok uczciwego zarobkowania pojęcia naszego ludu wchodzi na praktyczną drogę osvajania się z wyrobami pięknymi. Położyliśmy tu nacisk na sztukę, nie dlatego byśmy wyżej od niej nie cenili cnoty, lecz, że widzimy w niej narzędzie doskonałe do podniesienia tak moralnego jak i materialnego stanu ludu. Sztuka plastyczna, to pierwszy stopień na drodze uobyczenia ludzkości, pierwsze przysposobienie jej do przyjęcia poluru towarzyskiego i szlachetniejszego nastroju potrzeb i uczuć. Wychowanie też dotąd żyjących narodów na niej polega niemal wyłącznie, choć wiedza usiłuje ciągle jej berło panowania wydrzeć.

Przeszłoroczna wystawa sztuki polskiej w Kra-

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 29 Grudnia 1887 r.

kowie pozwala stawić pomyślnie wróżby, co do dalszego jej rozwoju i podnoszącego wpływu na społeczeństwo. Zdumiewający postęp w sztuce zrobiliśmy na wszystkich polach: nietylko mamy pierwszorzędną światowej sławy malarzy, snycerzy, ale i śpiewaków ze śpiewaczkami, oraz artystów i artystki dramatyczne.

Kraj petersburski przynosi nam hiobową wieść: o niebывалym upadku moralnym uprzywilejowanych warstw z za Niemna; my jednak wolimy pójść za przepowiednią genialnego śpiewaka Mohorta w życzeniu noworocznym, niż psuć sobie i czytelnikom różowy nastrój uczuć, konieczny do podsycającego nadziei w duszy ludzkiej. O! bo znicz ten, to czarodziej istotny, co same żuzle na czyste złoto przetapia, kamienie podłe na brylanty przerabia, umarłym żywot zmartwychwstania gotuje... Sztuka przyczynia się do podźwignięcia moralnego i nie da zmarnieć skarbom indywidualnego charakteru. Zastępy naszych bojowników pióra ciągle będą się oto upominały u naszych artystów: literatura wprowadziła u nas sztukę, ona też jej nie da zbroczyć na manowce kosmopolityczne lub niemoralne.

Nie jeden pessimista, być może, nie zupełnie-by się z nami zgodził na ten pogląd, widząc przez wagę realizmu w naszej literaturze; lecz przy bliższym rozpatrzeniu się w skutkach, jakie ona wywołuje, wszelka obawa powinna ustąpić. Co prawda, trochę zanadto odślania ona nagość prawdy, ale ta daje mocniejszy charakter utworowi i pewną przewagę, konieczną zwłaszcza w żelaznym wieku naszym. Sam idealizm przy tym, zdawałoby się sceptycznym, kierunku, przybiera jakąś stałość brylantową i osiada w duszy czytelnika mężkiem postanowieniem czynu. Nie przeczyliśmy wcale, że nieporównanie jest dzisiaj trudniej pisać niż dawniej, bo prócz techniki literackiej, trzeba mieć sporo i wiedzy i doświadczenia życiowego. Uważniejsze przypatrywanie się światu nas otaczającemu, wywołuje w duszy zbauwianą reakcją przeciwko zbyt niemu wybijaniu fantazji. Trzeba jednak z tem wytrzeźwieniem obchodzić się nader ostrożnie, żeby zbyt niemu znowu studzeniem wyobraźni nie wyziębiać i uczuć, które o tyle tylko mają wartość, o ile są szczerę, gorące, jak rozum znowuż być winien wiecznie zimnym. Miareę szkodliwości przesady w kierunku rozumowym dają nam oportunizm i materializm, rodzaj bakterii, śmiertelnie działających. Tajemnicę tę u nas, w Galicyi, dobrze już poznano. Pracownicy pióra, zwłaszcza w zakresie literatury nadobnej, bardzo mało odbiegają od dawnego idealnego kierunku, którego wszakże w jego szacie nowożytności wcale brać nie można za jakiś sentymentalizm prowincjonalny. Prądom naszej, miejscowej tutejszej kultury chcą niektórzy złośliwi nadawać miano „parafiańskich“, ale to zupełnie nietrafne: jest tu siła i pewność siebie, noszące wprawdzie dużo starożytności, zny na sobie, lecz zgola niepodobne wcale do ówczesnego naśladownictwa. Widać to jeszcze i w innym kierunku, mianowicie: w pomnożeniu się ilości wydawnictw, które liczebnością swą przewyższają działalność wszystkich innych dzielnic, Galicya sama jedna, co najmniej o jedną trzecią część wydaje obecnie więcej niż Królestwo razem wzięte z Poznańskiem. Nie wdając się w szczegóły, weźmiemy tylko pod uwagę jeden dział ilustrowanych pism galicyjskich—tu nie napotykały wprawdzie przewagi, ale już ogromny postęp.

Obecnie zaczął wychodzić *Świat* w Krakowie, który zamierza pono konkurować nawet z czasopismami ilustrowanymi warszawskimi przepychem wydania. Tosamo można powiedzieć i o wewnętrznej wartości tych pism: realizm ich jest umiarkowany z zdrowego idealizmu zasada szanowana.

Jak Lwów dzisiejszy, prawdziwie europejskie miasto, nie jest wcale podobnym do Lwowa przed dwudziestu pięciu laty, tak i Galicya cała nie podobna do dawniejszej pod każdym względem, od czasu ustalenia się autonomii, wszystko odradza się poprawia i doskonali, a nawet wzbogaca, dzięki kopalniom i zdrojowiskom naftowym.

Erywal.

Zamknięcie posiedzeń Senatu i Izby Poselskiej. — Bilans czynności. — Historia zamachu na życie Ferrv'ego. — Polityczny horoskop przyszłego, 1888 r. — Śmierć milionowej mieszczki p. Boucicaut i jej legata. — Świetny pogrzeb poczciwej kobiety. — Druga dobrodziejka biednych, pani Chardon-Lagache; jej śmierć i testament. — Wiadomości brukowe — Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku, jak się obchodzą w Paryżu. — Jubileusz papieżki, podarunki, dar missyi duchownej. — Śmierć malarza F. Bouvin'a. — Odślonienie pomnika na grobie Edm. About'a. — Wesołe urywki. — Kongres wieści „Towarzystwa polepszenia mężczyzny“. — Wesele syna panny Sary Bernhardt.

(Dokończenie).

Urodzona z ubogich rodziców, w małej miejscowości Verjux (Saône et Loire) w 1815 r., dziś zesłała do grobu, jako jedna z najwielmożniejszych osobistości paryżkiego handlu, uboga, skromna, szukając swej drogi czterdzieści kilka lat temu, weszła, jako prosta „Demoiselle de Magasin“, do bławatnego, bardzo saromnego sklepu, przy ulicy du Bac, położonego tam właśnie, gdzie dziś się wznosi wspaniała i olbrzymi gmach, zajmujący całą dzielnicę miasta, a znany Paryżowi i światu całemu, pod tem samym nazwiskiem owego sklepu: *Au bon Marché*.

Położony w dalekiej, jak na owe czasy, dzielnicy miasta, sklepik ów nie odznaczał się ani swoją powierzchownością, ani wspaniałością i bogactwem. Sprzedaż szła powolnie i leniwo, w niskim sklepiku, za wązkimi oknami, na prostych drewnianych półkach, urządzano się, jak było można najwygodniej, a na prostej dębowej ładzie, którą przechowano dotąd, mierzono, wyciągając sumiennie płótno, czy jedwabie. Zapłata panny była stosowną do dochodów sklepu, nie było to więc bynajmniej ani Peru, ani Golkonda i przyszele miliony pani Boucicaut nie musiały wówczas budzić ją ze snu.

W tym samym sklepie do posługi, a szczególnie do zakupowania towarów na fabrykach, służył wówczas, jako jedyny komissant, p. Arystydes Boucicaut, a był to prawdziwy Arystydes! Czasem los taką lubi wyprawić igraszkę! Po dziesięciu latach wspólnej pracy dla obcych, oboje, ona i on, poznawszy się dobrze i jakby odgadłszy wspólnie, przyszłe swe losy, pobrali się. A gdy starzy właściciele zapragnęli usunąć się na spoczynek, młodzi na pewnych warunkach nabyli ów sławny magazyn i na swoją rękę zaczęli prowadzić trochę czynniejszy handelek. Arystydes nie miał sobie równego co do owego szlacheckiego: *sensus wachalitatish*, który w sprawach handlowych dokazuje cudów. Świadomy cen wyrobów fabrycznych, oswojony z żądaniem i skłonnościami swojej paryżkiej publiczności, wspomagany potężnie przez żonę, która, co do sprzedaży i zachęcenia klienteli, była prawdziwym fenixem kupieckiej lady, Boucicaut szybko rozszerzył swe stosunki i znalazł się trochę zaciasno w swym starym sklepie. Było to w samych początkach cesarstwa, interessa same się przez się robiły. Państwo młodzi, idąc za powszechnym prądem, a nawet uprzedzając go w pewnej mierze, zakupili najpierw dom, do którego ich sklep należał, a rosnąc w sławę, kupili następnie dom sąsiedni naprawo, potem nalewo. Był to początek fortuny! Prawda, że te trzy domy, były to zawsze domy i wytwarzały szczególnie stały grunt pod nogami kupca.

Odtąd, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej, wszystko szło, jak z płatka, dla młodej pary. Powoli, powoli, dom po domu sąsiednim, przeszły w ich ręce; posiadłość zaokrągliła się cudownie i cała dzielnica stała się własnością Arystydesa i żony jego. Dzielnica, ta zamknięta czterema głównymi ulicami: du Bac, de Sévres, de Babylone et de Velpeau; mieści dziś w sobie, na miejsce tych spleśniałych starowin, wspaniałą gmach, ogromny pałac: „Magasin au Bon Marché.“

Dzisiaj w Paryżu są inne magazyny w tym ro-

dzaju, ale, co stanowi główną różnicę, jest to, i kiedy tamte wzniesione zostały wspólnymi siłami i kapitałami zbiorowej drużyny, co się zowie spółką, w której, jak naprzykład, w magazynie Louvru, uczestniczą takie finansowe tuzy, jak Rotschild, tutaj Arystydes sam wszystkiego dokonał własną pracą, rozumem, przezornością, i własnymi pieniędzmi. I miał tę jeszcze wielką zasługę, że był pierwszym, który dał początek, tego rodzaju zakładom w Paryżu.

Państwo Boucicaut mieli jeszcze większą zasługę i wyższą zaletę, co się tyczy wewnętrznej organizacji tego zakładu. Zapewnienie przyszłości i dobrobytu tej ogromnej ilości subjektów obojga płci, powołanych do obsłużenia całego falantery, zostanie wieczną chlubą ich imienia. Sami przebywszy przez twardą szkołę czeladnictwa, znali wszystkie dodatnie i ujemne jego strony. Wyszędzszy z niczego, znali wartość pieniędzy, znali trudność ich nabycia, znali wszystkie zapory, kiedy chodzi o dojście do celu.

To też od pierwszego wejścia na drogę radykalnej zmiany, t. j. od sklepiku bławatnego ze starożytnym wyglądem, do ogromnego emporium wszystkich a wszystkich towarów świata Boucicaut i jego żona wezwali wszystkich swoich współpracowników wszelkich stopni do współdziałania w zarobku, jak go przyjmowali w pracy: ztąd poszło, że dziś ten ogromny zakład jest własnością wszystkich współpracowników początkowych, a niczym wyłącznie. Jest to jedyny przykład ni wiadomy praktycznego zastosowania socjalizmu do własności, ale to tylko dzięki — *bezdzielnoci* milionów i uczynionej z nich dobrowolnej ofierze.

Każdy tu stosownie do miejsca, jakie zajmuje, na udział w dochodach, a zatem, każdy musi się starać o powiększenie dochodów, o najlepszą sprzedaż, o całość i bezpieczeństwo towarów. To dobrowolne stowarzyszenie, bez włożenia innego kapitału, oprócz zatrzymania pewnej, małej kwoty z pobieranego wynagrodzenia—w krótkim czasie rozwinęło się niezmiernie. Cała usługa składa się dziś z trzech tysięcy kilkuset subjektów; zarządza nimi główny sztab, złożony z trzechset współwłaścicieli całej fortuny, któryto sztab zostaje pod głównym zarządem tak zwanej Rady Administracyjnej, wybieranej przez nich—ze samych i z pośrodku tych trzystu zajmujących rozmaite miejsca w zakładzie. Prezesem rady jest jeden z najinteligentniejszych dawniejszych subjektów magazynu, niejaki p. Plasard; przy jego boku dyrekturuje p. Morin; dalej idzie vice-dyrektor i trzynastu ławników. Pani Boucicaut po śmierci męża i jedynaka syna sama prowadziła zakład; jej miejsce zastąpi teraz jeden z rady, na którego padnie wybór owych trzystu współwłaścicieli.

Pani Boucicaut po stracie męża i syna, mając już tylko dalekich krewnych, całą swoją ogromną, przeszło-dwudziestomilionową fortunę zapisała testamentem: naprzód, zakładowi swojemu, t. j. współpracownikom, wiernym towarzyszom do grobu, a następnie zakładowi dobroczynności. Nie podobna mi tu wyliczać wszystkich zosobna legataów; wspomnę o niektórych tylko:

1) Więcej niż szesnaście milionów franków zоставiła szlachetna kobieta dla subjektów i służby magazynowej, a o nikim nie zapomiała. Zaczawszy od tych, którzy mają przeszło dziesięć lat służby, i z których każdy dostanie 10,000 fr., aż do robotników i robotnic używanych przez przedsiębiorców robót wykonywanych dla magazynu,—każdy dostanie 100 fr.; 2) dwa miliony 645 tysięcy fr., na założenie domu ochrony w okolicach miast: Lille, Rouen i Châlons nad Sawoną; 3) milion na urządzenie domu wypoczynku, dla znużonych i rekonwalescentów ze służby magazynowej; 4) milion dla stowarzyszenia młodych robotnic pod nazwą: „Oeuvre de St. Nicolas;“ 5) dalej jeszcze legata w ilości 600,000 500,000 i 300,000 frank. dla rozmaitych szpitali i zakładów dobroczynności. Muszę się zatrzymać, bo mi już miejsca nie stanie, aby zapisać to wszystko, co umiała uczynić dobroczynność, miłosierdzie tej znakomitej kobiety. Niko-go to serce prawdziwie ludzkie nie pominęło; to też ludu—jak mówiłem—na pogrzebie pani Bou-

cicaut było więcej, niż na wszystkich zbiegowiskach oficjalnych — a ludu poważnego i w głębokim pogrążonego żalu.

A teraz, pytam się: czyż takie życie i taka śmierć, nie są większą i świętszą nauką, niż wszystkie urojone, zmyślone historie? Kiedy mi przychodzi porzucić tę kartę i przejść do owych zmyśleń, serce się ściska i coś mi szepcze do ucha, że prawda czysta i prosta, większą jest nad wszystko, i że wasz korrespondent nie mógł lepszego podarunku złożyć czytelnikom swoim z życzeniem Nowego Roku — nad tę opowieść o losach i sprawach takiej kobiety, jaką była zmarła pani Boucicaut. Dodam tu jeszcze, że umarła na zapalenie płuc w Cannes w Prowancyi, gdzie się udała szukać polepszenia zdrowia, że miała lat 72 i że pochowaną została w Paryżu, wraz z mężem i synem jedynakiem na cmentarzu Montparnasse.

Zamykając tę kartę wspomnień o kobiecie tak wielkiej zasługi, niech mi wolno będzie zapisać tu imię drugiej jeszcze Babylonki — mieszczki i również jak tamta, pani znacznej fortuny, zbudowanej również własnymi jej rękoma. Państwo Chardon-Lagache, właściciele jednego z bardzo tu znanych magazynów nowości, na przedmieściu S-go Honoryusza, za zgodą jedynaczki córki, ufundowali już temu lat kilkanaście — dom przytułku dla starców, kobiet i mężczyzn. Zakład ten, zbudowany w Auteuil pod Paryżem, kosztował tych zacnych ludzi przeszło cztery miliony i miał zapewnionego przez założycieli rocznego dochodu 60,000 frank. na utrzymanie stu dwudziestu pensjonarzy. Powiedzmy zaraz, że na ten miłosierny uczynek fundatorowie poświęcili większą połowę fortuny zarobionej uczciwie na handlu.

Owóz w tejsamej chwili, kiedy pani Boucicaut zamknęła oczy w Cannes, zostawiając tak królewski testament, — w Paryżu zmarła pani Chardon-Lagache i testamentem swoim przekazała sumę 25,000 frank. rocznego dochodu, administracji tak zwanej „Pomocy publicznej“ (*assistance publique*), w której zawiadywaniu znajduje się dzisiaj, ów dom przytułku jej fundacji w Auteuil. Summa ta jest przeznaczona na wieczystą zapomogę, pomnażającą środki utrzymania starców w dobroczynnym zakładzie.

Są to cnoty i zasługi, które nas pocieszają i utrzymują wśród przeciwności i wśród poniżenia i upadku, ogólnych tu dziś prawie. Dlatego dobrze jest, aby o tem słyszano i u nas; dodajmy, że ta mieszczka, oprócz wyłącznej fundacji tego zakładu, przyjmowała jeszcze ciągle a nieprzerwane uczestnictwo we wszystkich prawie stowarzyszeniach dobroczynności w Paryżu, i że codziennie prawie odwiedzała swój zakład w Auteuil.

Mógłbym skończyć ten list na tych poczytych wspomnieniach, tak poczytych niewiast; ale zostaje mi trochę jeszcze miejsca i widzę w swoich notatkach jeszcze kilka szczegółów o tem, co się dzieje w tej chwili na tutejszym bruku.

A najpierw święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku — choć tu je obchodzą inaczej niż u nas — zajmują bardzo ważne miejsce w życiu Paryżanów. Poprzedzają je tutaj dwie wigilie, znane pod nazwą *Reveillon*. Wigilia Bożego Narodzenia starszym daje sposobność do uraczenia się suta i smaczną kollacją. Nie jest ona, tak jak u nas, postną i na skromnym sianku; ale z całym zasobem tuczonych indyków, gęsi, kaczek i t. d. z dodaniem trufli nieodbitnie potrzebnych, i najlepszych win, jakie są w piwnicy, lub w winiarni. Biesiadę tę poprzedza o godzinie 11-iej z południa choinka dla dzieci — gdzie są

dzieci i gdzie jest za co ją urządzić. Przed ową wieczerzą, a częściej po niej, wesoła kompania *in gremio* udaje się do kościoła na mszę północną i zwiedzenie jasełek.

Tego roku, pomimo krzewiący się coraz indyferentyzm, kościoły były przepełnione wiernymi i niewiernymi. Na mszę północną docisnąć się było trudno — w wielkich i małych kościołach. Czas zresztą sprzyjał dość temu, bo stosunkowo był dość łagodny i pogodny. Zwykle corocznie kramiki zapełniły chodniki przy bulwarach, a publiczność ogromną rzeką płynie wśród tych sztucznych świateł, oświecających sztuczny *sui generis* handel — jakgdyby nie było polityki. Skoro tylko Izby rozpuszczono, wszystko się weseli i zdaje się śpiewać: „Choć bieda, to hoć!“

Jak wszędzie, tak i tu przygotowano do Rzymu podarunki z powinszowaniem Jubileuszu Ojca Świętego — Paryż nie wystąpił, jakby mógł, i jakby był powinien; wystawa darów w salonach Pałacu Arcybiskupiego nie uderzyła nas wielką świetnością; powiedzmy, że z tych darów dwa jedynie zwróciły naszą uwagę; wspaniała tyara, dzieło artystyczne, wielkiego smaku i tabakierka złota z odpowiednimi herbami i napisami.

Wesele i smutek — radość i żałoba splatają się ciągle w życiu. Zapiszmy tu, *pro memoria*, śmierć jednego ze znakomitszych malarzy. Franciszek Bouvin, sławny malarz rodzajowy i prawdziwy artysta z piękną duszą i podniosłym charakterem zacnego człowieka, zmarł 18 Grudnia w St. Germain pod Paryżem. Doskonale rysownik, kolorystem i blaskiem swoich obrazów zbliżał się bardzo do mistrzów flamandzkich, nie tracąc własnej, narodowej cechy. Był to bystry postrzegacz i tłumacz najdelikatniejszych odcieni uczuć. Religijny, skromny, od lat już dawnych zamknął się w swej pracowni w St. Germain. Tam dotknięty ciężką chorobą, stracił nakoniec zupełnie wzrok — i wśród cierpień tej wiecznej straszliwej nocy zamknął powieki.

Zostawił on niemało znanych i znakomitych obrazów; w tej liczbie należy postawić na pierwszym miejscu: „Ave Maria“, „Refektarz“, „Szkołę pułkową“ i „Kowala z Tréportu.“ Malował bez pośpiechu i gwałtu, tworzył spokojnie bez fury i zabiegów o honory i pieniądze. Od lat szesnastu był kawalerem Legii Honorowej i ani pomyślał starać się o rozetkę, zostawiając to — jak mawiał — tym, co mają lepsze nogi i elastyczniejsze krzyżel! Umarł, mając lat 71.

Drugiemu zmarłemu, również mistrzowi w swoim rodzaju — zmarłemu, już dawniej (dwa lata temu) przyjaciele i rodzina wnieśli pomnik na cmentarzu Père-Lachaise. Na granitowej, niewielkich rozmiarów, podstawie Edmund About jest przedstawiony w naturalnej wielkości, siedzący na krześle. W prawej ręce trzyma pióro, ten miecz obosieczny, którym niegdyś władał z taką znajomością: cięcia i pchnięcia, jak mało jest mu równych we Francyi. Chwaląc go, Renan, wspominał słusznie o jego praójcu po tem piórze, o Voltaire'ze, bo miał on nie jedno podobieństwo z tem ognistym kropidłem XVIII wieku; w lewej ręce trzyma pierwszą swoją książkę *Współczesna Grecya*; obok rzucona leży *Alzacja*, ostatnie jego dzieło, ostatni wyraz żywego patryotyzmu, bo About, urodzony w Dieuze, małej miejscinie Lotaryngii, ożeniony z jedną z córek sąsiedniej Alzacji — głęboko uczuł zabraną mu przez Niemców ojczystą ubogą zagrodę i broń tej sprawy z właściwą sobie zaciętością *unguibus et rostro*.

Posąg z brązu jest to dzieło snycerza Crauk'a. Artysta je wykuł bez żadnej zapłaty i z całą delikatnością, nietylko znakomitego twórcy, ale przyjaciela, który wiedział, jaki to duch niegdyś oży-

wiał tę postać. Rzecz dziwna: niema tu ani sowy ani orła, ani łańcuchów, ani żadnej z dziwnych allegoryi — a przecież to piękne! Na tem, niezmiernego podobieństwa obliczu, widać ten wyraz rozumu i ironii: główne znamiona pisarza i człowieka — i tyle! — ale piękne, piękne. Najpierwszy zabrał głos Renan; ponim Claretie; dalej Sarcey i inni jeszcze — a nakoniec niespodzianie wystąpił — Ferry, tak, on sam — *Juliusz Ferry redivivus*, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych.

Dowiedzieliśmy się z afiszów i z prywatnych zwierzeń o nowo-otwartem stowarzyszeniu kobiet, w celu — ulepszenia i *oswojenia* mężczyzn! Ulepszenie, odrodzenie, moralizacya: — to główne założenie; okoliczności podrzędne będą traktowane stosownie do potrzeby. Pani de Morsier, Szwajcarka rodem, ale kochająca Francją, — jest założycielką tego stowarzyszenia i otwiera mu swe gościnne tymczasem podwoje. Główniejsze role — są rozdane pomiędzy panie rozmaitej narodowości, co dowodzi, że potrzeba tej poprawy rodzaju ludzkiego daje się uczuwać wszędzie, niewylączając Szwajcaryi, — to rzecz dziwna! Pani Sheldon-Amos, Miss Kemp, Amerykanka, pani Renooz, napół Belgijka i napół Hiszpanka, nakoniec pani Bogelot Francuzka. Ta ostatnia, mając męża, jak się pokazało, wypróbowanej moralności, obdarzona praktycznym zmysłem swojego narodu, w przemówieniu, którem zostało zamknięte pierwsze posiedzenie tego żeńskiego kongressu, wyraziła życzenie, aby wszystkie jej siostry, znalazły towarzyszy życia potrzebnych jej mężowi, i aby sprawa wyzolenia i moralnego postępu kobiety, mogła znaleźć najszersze poparcie w całym świecie.

Wiecie już, jakie nowe laury zbiera na scenie panna Sara Bernhardt w *Tosce*, o której w przyszłym liście powiem obszernie. Otóż jako wesołe następstwo tych sukcesów: mamy Sary, mamy też zapowiedziane i wesele syna. Mówię o tem, bo tu zaczepiamy o *Cosus di Polonia*. Syn ten, o którym mówimy tylko: *kto go rodzi*, żeni się — jak ogłaszają dzienniki — d. 29 b. Grudnia avu Son Altesse księżniczką „Terką“ Jabłonowską. Ja myślę, że owe *Altesse* i *księżniczka*, są tu za nadto. Znałem ostatnich z tego rodu Maxymiliana, Antoniego i Stanisława; ci nie mieli successorów płci męskiej, i zapewne już dziś nie żyją. Ostatni z rodu również bezdzietny Karol, był generałem w służbie austriackiej.

Ci więc Jabłonowscy z paryżkiego bruku, muszą należeć do owej szlachty, obdarzonej klejnotami, konstytucją 1788 r. razem z Krzyżanowskimi, Piątkowskimi, Sobotkowskimi i innymi tegoż skartabellatu, nie mającemi żadnej pretensyi do mitry książęcej. Ojciec był w służbie — jak powiadają zawsze dzienniki — u Wiktora Emanuela; ożenił się z Niemką, panią Mohr, a samo imię panny „Terka“, skrócone zapewne z „Esterka“ — pokazuje, że ojciec nie zapomniał o owych arfach, zawieszanych na wierzbach *super flumina Babylonis*... słowem: — wesołe świątki!

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Pogawędka. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Notatki pedagogiczne. — Echo z Czech, przez Erywala. — Nowiny paryżkie, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — Przegląd mód. — 21 wzorów ubiorów i robót z op. s. m. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyeya stołu.